

Eliza Orzeszkowa

Nad Niemnem

(fragm. 2.)

Wejście syna było dla ojca niespodzianką.

– A co? skąd przychodzisz? czegożeś taki rozgrzany i zmęczony?

Młody człowiek nie odpowiadając naprzód postąpił i przed ojcowskim biurkiem stanął.

– Mój ojcie... (...)

Benedykt nie przerywał już, milczał, a biegły chyba znawca dusz mógłby odgadnąć, jakie uczucia zapalczywa mowa młodzieńca budziła w jego przedwcześnie uwiędłej duszy. W fotelu zagłębiony, przygarbionymi trochę plecami do poręczy jego jakby przyrósł; od bledszej niż zwykle i w tysiąc zmarszczek połamanej twarzy długie wąsy nieruchomo na pierś mu zwisały; oczy jego czasem mąciły się aż do dna i powieki na nie opuszczał, to znowu podnosił je i namiętne płomienie na syna z piwnych źrenic ciskał. Jak grób milczał i jak w grobie odbywały się w nim rzeczy posępne i tajemnicze. Czy przejmujące go z kolei uczucia były wstydem, żalem lub gniewem – to pewno, że cierpiał, a cierpiąc czuł jednak, że z obfitych i gorących słów syna powstawała i o pierś mu uderzała jakaś fala błękitna, śpiewna, niegdyś mu dobrze znana, lecz przez życie pochłonięta, a teraz niby z przepaści życia ku niemu powracająca. (...) Witold bardzo blady, z drżącymi rysami, przytłumionym głosem mówił (...)

– Ciężko... straszno... straszno mi tak mówić do ciebie, ojcie! Rozdarty jestem pomiędzy tobą a tym, co mi nad ciebie, siebie, nad wszystko droższe... Nie jam jeden taki! Co sprawiło, że pełni jesteśmy bezbrzeżnej litości nad maluczkimi mrówkami i kretami ziemi, że w ciemne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby wśród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie możemy, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biec, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wskrzeszać? Co to sprawiło? Czy pochod wieku, którego jesteśmy dziećmi? Czy wezbrane morze myśli ludzkich, którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które zalewając nam serca i gardła budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnego bólu świata i bezbrzeżne dla niego współczucie? Ale to współczucie, te święte dla nas idee, razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem myślą, z sercem tętnią... one są epopeją naszą, z nich powstają nasze tragedie... One też są naszą jedyną nadzieją! Jaką nadzieją? O, jej imienia, ty, ojcie, wspominać zabraniasz... tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu! a ten strach wieczny... ta ostrożność niewolników, których drzeniem przejmują sam nawet brzęk ich łańcuchów... to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu... ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... ten brak miłości dla ziemi i ludzi...

– Witoldzie!

W tym wykrzyku, który Benedykt rzucił w mowę syna, był taki gwałt i bólu, i gniewu, że młodzieniec umilkł nagłym zamyśleniem ogarnięty. Pochylił głowę.

– Wiem, ojcie, że bardzo byłem zuchwały – dziwnie zmienionym głosem zaczął – pomiędzy sobą i tobą wzniosłem zapewne ścianę nieprzebitą i która rozdzieliłaby nas na zawsze, gdybym po tym, co się stało, żył jeszcze... Ale jeżeli martwy u nóg twoich padnę, przebaczysz mi... prawda? Przebaczysz? i znowu tak samo kochać mię będziesz jak

niegdyś?... Tylko umarłemu dziecku przebaczyć można taką zuchwałość i taką obrazę... Coś mam w sobie, ojcze, co mię ku ciemnym otchłaniom popycha...

Mówił to cicho i z tym cichym żarem źrenic, którym się objawiają najniebezpieczniejsze, skupione w sobie szafy; przy tym ruchem powolnym, a coś stanowczego w sobie mającym wyciągnął rękę ku jednej z wiszących na ścianie strzelb. Benedykt porwał się i jak płótno blady w mgnieniu oka za ramiona go pochwycił.

– Wariacie! dziecko! co ty robisz! Czemuż nie? Ty i na to gotów jesteś! U was nawet taka zaraza panuje... Tuziny was teraz kule w łeb sobie pakują! Ach, ty! Mądryś taki, a zielono ci w głowie... O, te idee, te ideały... te... to, tamto... które tych błaznów do takich nawet rzeczy doprowadzają... Boże miłosierny!

Strzelbę, którą dziś sam w obecności syna nabijał, z rąk mu wyrwał, na ścianie zawiesił, lecz w zamian obie ręce młodzieńca pochwycił i z całej siły w szerokich swych dłoniach je ścisnął. Prawie straszną była w tej chwili jego twarz ciemna, pomarszczona, wąsata, której groza myśli i przewidywań szeroko rozwierała oczy i podnosiła włosy nad zbladłym jak chusta a kroplami potu świecącym czołem. Z wyciągniętą ku synowi szyją oczy w nim zatapiał, szeroko otwarte, przerażone. (...)

– Ojcze mój, nie lękaj się i nie żałuj, jeżeli dziecko twoje zginie na mlecznej drodze przyszłości, w blasku jutrzeńki, w ogniu ofiary! Nie sąż także zginionymi ci, którzy chodzą po nizinach samolubstwa, zaprzaństwa, rozkoszy ciała i nędzy ducha?

(...) Długo jeszcze patrzył na syna, aż ręce jego z żelaznego dotąd uścisku uwalniając obie dłonie ku czołu podniósł i głucho wyszeptał:

– Krwi moja! młodości moja! Falo, która nas niosłaś... powracająca falo!...

Z głową schyloną, z dłońmi u czoła, ze zgmatwaną gęstwiną włosów, odchodził ku biurku, niby w śnie powtarzając:

– Powracająca fala! powracająca fala!

Były w tym szepcie groza i zachwycenie.

Potem odkrył twarz i jedną rękę o biurko wspierając wyprostował się, głowę podniósł. Zmienił się dziwnie. Blask oczu jego wilgotny był i jakby rozmarzony, postawa dumną. Na syna patrzył.

– Słuchaj – zaczął – jeżeli wam się zdaje, że wy to pierwsi wymyśliliście wszystkie szlachetne uniesienia i wzniosłe idee, że wy pierwsi poczęliście kochać i ziemię, i lud, i sprawiedliwość, popełniacie błąd gruby i grzech przeciw sprawiedliwości...

Zatrzymał się na chwilę; tak już dawno w ten sposób i o takich przedmiotach nie mówił, że może słów mu zabrakło albo myśli splątały się w głowie. Ale powracająca fala odnosiła mu wszystko, co życie zabrało, i przypominała wszystko, co niegdyś umiał, wiedział, czuł.

– I w naszych ustach – mówił dalej – brzmiało niegdyś hasło poety: „Młodości! ty nad poziomy ulatuj!”, i myśmy latali na mleczne drogi i w blaski jutrzeńki, i w ognie ofiary! Ten lud... to wasze bożyszcze... Boże wielki! tożeśmy się ku niemu jak szaleńcy rzucili, jak w słońce w niego wierzyli, jak w zbawienie zapatrzyli, na rękach prawie podnieść go usiłowaliśmy, dobro nasze i samych siebie staliśmy przed nim... Krzywdy przez ojców jeszcze zrządzone własnymi choćby ciałami pragnęliśmy zmieść ze świata i z jego pamięci... A ziemia! Boże! dzieckiem, chłopięciem, młodzieńcem, ja każdą roślinkę, każdą kroplę wody, każdy jej kamień kochałem... mogłem być wrogiem ludzi, którzy z niej powstali? to ja... ale niemało, nie mało nas takich było! Śmiech bierze na wspomnienie! Młodzi mędrcy... poeci... rycerze... apostoły... wskrzesiciele... górne marzenia... wielkie nadzieje... ogniste zapąły! Wszystko jak w wodę wpadło! Śmiech na wspomnienie bierze!

Zaśmiał się istotnie z oczami pełnymi łez. Drżącym głosem, lecz z głową podniesioną zaczął znowu:

– Słuchaj! Korczyńskim braku ideałów, braku miłości dla... dla...

Stare przyzwyczajenie język mu splątało. Zająknął się.

– Dla... to... tamto... – jękał.

Ale powracająca fala znowu go błękitem i ogniem oblała:

– Braku miłości dla ideałów Korczyńskim zarzucić nikt nie ma prawa. Jeden ją życiem opłacił... drugiego zawiodła ona tam, gdzie honor i ludzką cześć stracił... trzeci... trzeci przeżył życie zazdroszcząc temu, który w mogile leży!

Teraz dopiero te łzy, które napełniały mu oczy, spadły z nich dwoma wielkimi kroplami i ze zmarszczki na zmarszczkę toczyły się po policzkach. Ręką machnął, na fotel opadł i szeroką dłonią zasłonił sobie czoło i oczy. O dwa kroki od niego na krześle siedzący Witold, osłupiały, niemy, chciwymi oczami wpatrywał się w ojca domyślając się istoty i natury tej siły, która go tak dziwnie wśród rozmowy z nim przetworzyła. Zresztą, w domysłach tonąć nie potrzebował. Jak kipiątek długo i szczelnie zamknięty po zerwaniu pokrywy z gwałtem i szumem wylewa się na zewnątrz naczynia, tak gorzkie, żale, gniewy napełniające to strute i chmurne serce wybuchały zeń obfitymi i namiętными słowy. Natura nie stworzyła go milczącym i skrytym. Był czas, w którym dom ten rozlegał się cały od dźwięku jego głosu hojnie wśród zbierających się tu tłumów rozrzucającego hasła, nauki, namowy, rozprawy, sprzeczki. Ale potem strasznie uciszyło go życie. Sto przyczyn na sto zamków zamknęło mu usta. Płynęły dni za dniami, lata za latami – on milczał. Z czasem i z samym sobą rozmawiać przestał o tym wszystkim, o czym dawniej rozmawiał z mnóstwem ludzi. Tak już przywykł. Dziś dopiero rozmowa z synem zerwała z jego serca kamienną pokrywę i otworzyła mu usta. Byłóż to opowiadanie? byłóż to spowiedź? byłóż to usprawiedliwianie się przed tym dzieckiem talk niezmiernie kochanym, a które mu dziś w oczy rzuciło gradem wyrzutów, prawie obelg? Potrzebę tego ostatniego podszeptowało mu sumienie: „Wytłumacz, wytłumacz, dlaczego cię to dziecko znalazło takim, jakim się stałeś, i dlaczego straciłeś to wszystko, co je napełnia, a coś i ty w równej mierze niegdyś posiadał!” Serce w nim także wołało: „Mów! bo inaczej nie pęknie i nie runie nigdy ta ściana, która wzniosła się pomiędzy tobą a tym dzieckiem, tą krwią krwi twojej, tym powtórzonym obrazem twojej młodości, tą – powracającą falą wiary, nadziei, czarodziejskich i bohaterskich snów o nowych jutrenkach i ofiarnych stosach!”

Mówił, opowiadał, co stało się i działa potem, gdy wszystko wpadło w wodę. Dawne to dzieje. Zdaje mu się, że nie dwa dziesiątki, ale dwie setki lat od tego czasu upłynęły, tak wszystko dokoła niego zmieniło się i w nim samym. Zmienił się zaś on nie od razu, nie nagle, ale stopniowo, jak stopniowo rdza gasi blask i wyszczerbia ostrze zakopanego w ziemi żelaza; jak stopniowo szczupleją, tracą siłę i znikają nie używane do ruchu członki ciała; jak stopniowo zmierzch wieczoru pochłania światło dnia; jak stopniowo ciemnieje w sobie, słabnie, gaśnie człowiek ciężko i nieustannie smutny...

Mógł być odejść w wesole strony, nie uczynił tego. Mógł w lichych przysmakach życia szukać przypadającej nań cząstki szczęścia, nie używał ich wcale. Z górnej, lotnej jego młodości pozostało mu tyle, że podłości i zaprzaństwa nie popełnił, a w pracy, choć poziomej i ciasnej, pograżył się z surowością mnicha i zapalczywością taką, z jaką rozbitek chwytła i ścisła jedyną deskę ze strzaskanego statku pozostałą. Na tę pracę, acz poziomą i ciasną, padał przecież i z góry jakiś promień. Jak ktoś, kto dziwi się i usprawiedliwia, Benedykt ręce rozkładał i zapytywał:

– Cóż było robić? co było robić? Mówiono, wołano, zaklinano: „Ziemia! ziemia!” Trzymałem ziemię...

Trzymał ją i dla siebie, bo w nią wrósł, i przez chmurną ambicję postawienia na swoim, i przez myśl o synu.

Ale w jeden punkt zapatrzony, inne z oczu tracił; jak wół ze schyloną pod jarzmem głową jedną bruzdę deptać inne dostrzegać przestawał; w jednym namiętym usiłowaniu skupił wszystkie siły i na nic innego już mu ich nie stało. Żelazo nie czuje osiadającej na nim rdzy, ale człowiek łzami zrazu oblewa każdą na własnej duszy dostrzeżoną jej plamę. Gdy nie

mógł żyć tak, jakby pragnął, gdy potem już i pragnienie innego życia w nim gasło, gdy nad rozwartą książką oczy mu do snu kleić się zaczynały, gdy spory i kłótnie różnić go z ludźmi poczęły, gdy zrazu ścigać wzrokiem, a potem i rozumieć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata – długo we środku mu coś płakało. Jak długo? nie pamięta, wie jednak, że z czasem przywykł do wszystkiego, tylko ten płacz wewnętrzny, którego już w sobie nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war, co chwilę wybuchający zeń gniewem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą. Czasem jeszcze tylko daleka, nieosobista nadzieja błąkała się mu po sercu.

– Może on? może dla niego... przez niego... z nim?... – o synie myślał.

Była to już jedyna jego nadzieja. (...)

– Ojciec mój! do grobu, do ostatniego tchnienia wdzięcznym ci będę, żeś mię nigdy od reszty ludzkości nie oddzielał, piedestałów mi nie budował, na królewicza i samoluba mię nie chował. Gdyby nie ty, od kolebki pewno owinięto by mię w watę zbytku i zamknięto w klatkę przesądu. Byłbym dziś może, jak ten nieszczęsny Zygmunt, lalką z żurnalu mój wyciętą i niedoszłym jakim artystą, albo jak Różyc, kartką welinu w roztworze morfiny umoczoną!

Benedykt ręką jeszcze oczy zasłaniając z poczynającym się na ustach uśmiechem pod wąsami mruczał:

– No, tak, tak, chłopcze! Nie zgłupiałem przecież do tego stopnia, aby myśleć, że syn mój z innej gliny niż inni ludzie ulepiony, i nie spodlałem tak, aby poddać się woli bab, które by z mego dziecka zrobiły ładnie ufarbowany gałganek!

Z wahającymi się jeszcze uśmiechami na siebie patrzali. Więcej niż kiedy czuli, jak niezmiernie kochali się wzajem, zrozumieli też, jak bardzo byli do siebie podobni. Chwili jednej wielkiego uniesienia i piorunującego wspomnienia trzeba było na to, aby z jednego z nich spłynęła ta rdza, która mu przez długie lata osiadała duszę, i aby to podobieństwo wystąpiło jawnie i jasno. Nagłym ruchem głowę w tył odrzucając i palcami ocierając wilgotne jeszcze oczy Benedykt zawołał:

– Jakby ciężar stupudowy spadł ze mnie, kiedy wszystko przed tobą wygadałem. Nie wiesz i bodajbyś nie dowiedział się nigdy, co to jest długie lata cierpieć z zaciśniętymi zębami i nie mieć na świecie jednej żywej duszy, przed którą człowiek mógłby śmiało, ufnie, wszystko, co ma w sobie, pokazać, pociechy, rady, a czasem prawie i ratunku wezwać. Może i to przyczyniło się wiele do mego ściemnienia i zdziczenia, że takiej duszy przy sobie nie miał. Marzyłem nieraz, że ty mi tym wszystkim będziesz, a kiedy tego lata zdawało mi się, że i te marzenia, jak wszystkie inne, diabli wezmą, nachodziła mię taka rozpacz, że nie tylko już Andrzejowi, ale wszystkim pomarłym grobów ich zazdrościł...

– Ale teraz wiesz już, ojciec, co nas dzieliło! – zawołał Witold. – I w przywiązanie moje dla ciebie wierzyć musisz...